

TEMAT GOŚCIA

Czy wolno
propagować symbole
komunistyczne?

18

DZISIAJ DODATEK HISTORYCZNY: 90. rocznica
przyłączenia Górnego Śląska do Polski

KOŚCIÓŁ

Rozmowa z synem
św. Joanny
Beretty-Molli

28

17 czerwca 2012 ■ nr 24 rok LXXXIX Cena 4 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK KATOLICKI



KILAR

W kapłanach
zawsze widzę
pośrednika
Chrystusa

s. 56

GOŚĆ

N I E D Z I E L N Y

Y 9004 C Nr indeksu 359424 www.gosc.pl



ISSN 0137-7604
24
9 770137 760207

O sonetach dla
żony, dotknięciu
jasnogórskiego
obrazu
i kapłanach
„nieszalonych”
z **Wojciechem
Kilarem**
rozmawia
Barbara
Gruszka-Zych.

W domu Wojciecha Kilara począwszy od kredensu w kuchni, poprzez korytarze, na pokojach skończywszy, stoją statuetki i wiszą dyplomy nagród, którymi każdy twórca chciałby być uhonorowany. Z tytułami obywatela honorowego jest tego ponad setka. Ale kompozytor prowadzi mnie do swojego fortepianu, gdzie w ramce za szkłem widać stroniczkę z notesiku żony Barbary. Oprawił ją tak po jej śmierci. – To notatki z przygotowań Basi do I Komunii – wyjaśnia. – Fragment „Te Deum laudamus”. Jest tu jeszcze jej „Kubuś Puchatek” z tamtego czasu. Na stronie przedtytułowej wykaligrafowała piórem: „Pomianowska Basieńka. Katowice 1944”. Miała wtedy 8 lat.

BARBARA GRUSZKA-ZYCH: Kiedyś w krakowskim antykwaracie szukał Pan „Boskiej komedii” Dantego i wtedy wpadł Pan w ręce „Sonety do Laury” Petrarke za jedyne 3,50...

WOJCIECH KILAR: – Z całej „Boskiej komedii” do mojej czwartej symfonii „Sinfonia de motu”, czyli „O ruchu”, wybrałem kilkadziesiąt ostatnich linijek, gdzie jest mowa o największej sile, która wprawia w ruch słońce i gwiazdy. A jest nią miłość. Kiedy skończyłem tę symfonię, wróciłem do Petrarke. Cud wielkiej sztuki polega na tym, że jest ponadczasowa. To, o czym Francesco pisał ponad 6 wieków temu, mówi o mnie. Dlatego skomponowałem do niego muzykę. Sonetów jest 300, a ja wybrałem cztery – dwa pierwsze mówią o miłości



Harmonia dwojga

do Laury za życia, dwa następne są opłakiwaniem jej po śmierci. Po stracie mojej żony wszystkie utwory dedykowałem jej, poza tym jednym. Ale komuś, kto mnie zna, musi się on kojarzyć z moim życiem.

Kiedy ostatnio Pana odwiedziłam, wrócił Pan z cmenta-

rza od żony i czytał mi sonety „Do Laury Madonny umarłej”. Petrarke mówi w nich, że po drugiej stronie „zobaczy Pana swego i swą panią”.

– Zaryzykowałbym stwierdzenie, że jest to też wyznanie mojej wiary, gdybym był jej pewien. Jak mówi psalmista: „Jak łania pragnie wody ze strumienia, tak

dusza moja pragnie Ciebie, Boże”. Łaską jest już to, że tak bardzo potrzebuję wiary. Znam ludzi, którym dana jest wielka wiara. Być może w jakiejś mierze też ją posiadam, ale boję się, żeby w tym stwierdzeniu nie było pychy. Wiara to kwestia zrozumienia, kim jest drugi człowiek. Trzeba w nim widzieć Chrystusa, nawet



ZDJEŚLAW SOWIŃSKI

cha

– Na Jasnej Górze mogłem dotknąć obrazu, ucałować go. Przytknąłem do niego swój różaniec – mówi Wojciech Kilar. 18 czerwca br. kompozytor przyjmie doktorat honoris causa Uniwersytetu Śląskiego przyznany na wniosek Wydziału Teologicznego

jeśli doświadczyliśmy od niego krzywdy. Miłować bliźniego swego jak siebie samego.

Twierdzi Pan, że wiara wymaga prób. Czy odejście żony było próbą?

– Nie, nie miałem chwil, żeby pytać: „Panie, dlaczego mi ją zabrałeś?”. Wręcz odwrotnie, widziałem

w tym Jego łaskę, bo ostatnie lata żony były ciężkie.

Męczyła się w chorobie?

– Tak... Zawsze podczas modlitwy muszę przywoływać się do porządku. Powinienem się cieszyć, że ona już nie cierpi, a nie użalać nad sobą, że jestem sam. Bo przecież tak nie jest. Ja się tak strasznie

bałem po jej śmierci pierwszego wyjazdu z Katowic w miejsca, gdzie byliśmy razem. Ale okazało się, że ona pojechała tam ze mną i towarzyszy mi przez cały czas. Oczywiście, najbardziej ją czuję w domu. Tutaj jest wręcz dotykalna. Podpowiada mi nawet poprzez znaki. Nie jakieś mistyczne, ale takie dorady „z góry”, co mam na przykład w danej chwili zrobić. Wielu ma podobne doświadczenia ze swoimi zmarłymi.

Petrarka opisał Laure, Pan – Barbarę.

– U Petrarki są precyzyjne słowa. Moja muzyka, towarzysząca sonetom, jest bardzo skromna. Żeby w pełni zabrzmiała treść.

Proszę opowiedzieć o żonie.

– To największa łaska, jaką dostałem od Boga. Jak się kogoś kocha, to wszystko jest w nim wspaniałe. Żadne historie z naszego życia, kiedy układało nam się gorzej, nie są ważne. Pobraliśmy się, kiedy byłem już w wieku Chrystusowym, ona była o 4 lata młodsza. Mieliśmy już za sobą trudne chwile, może dzięki temu potem nasza miłość była jak skała. Jak u Petrarki, też się sporo wycierpiałem jeszcze przed ślubem. Wydaje mi się, że właściwie w naszej rozmowie zastanawiamy się, czym jest wielka sztuka. Nigdzie nie dowiemy się takiej prawdy o człowieku, jak przez sztukę.

Można powiedzieć, że wielka sztuka za nami patrzy, a my potem inaczej patrzymy na świat.

– Wielka sztuka kojarzy się z kosmosem, przenosi nas w rejony nieosiągalne realnie. Ktoś z moich przyjaciół powiedział o adagio z „Kwintetu smyczkowego” Schuberta, że to jakby chodzenie po planetach. Nagle odrywamy się od rzeczywistości i znajdujemy w świecie niepojętym. Doskonałość dzieła jest powtórzeniem aktu stworzenia Boga. Przykładem na to jest muzyka Bacha, który zmagają się z doskonałością kosmosu. Stany mistyczne, w które nas przenosi, to ogromne pocieszenie. Wszystko wydaje się wtedy takie proste. Nie potrzeba żadnych materialnych dowodów na istnienie Boga. Wystarczy tylko muzyka.

Czy takie stany zdarzają się podczas komponowania?

– Tylko grafomani mówią, że piszą w natchnieniu. Trzeba pamiętać anegdotę o Styce, którego Matka Boska mówi: „Nie maluj mnie na kolanach, tylko mnie maluj dobrze”. Komponowanie to ciężka praca. Przede wszystkim są nuty, nuty, nuty i jeszcze raz nuty. Kilkadziesiąt lat temu nagrywałem w Radiu Katowice muzykę do spektaklu lalkowego. Siedziałem w mikserce i usłyszawszy, jak harfistka pomyliła się, powiedziałem głośno: „Wie pani, tam jest »A«, a nie »G«”. I wtedy usłyszałem lekceważące: „Ojej, świat się nie zawalił!”. A właśnie, że się zawalił! Dla mnie ważne są nutki, dla pani słowa, i te nasze świąty muszą mieć trwałą konstrukcję.

Tylko wtedy może powstać prawdziwa sztuka.

– To też ważne, jeśli nie chcemy być traktowani jak pasożyty żyjące na marginesie społeczeństwa, ale czuć się potrzebni jak górnik czy lekarz. Dobrze rzemiosło pomaga w zrozumiałym przekazaniu przesłania dobra, miłości, piękna.

Niedawno poznałem przedsiębiorcę-melomana. Kiedy jego fabryce groził krach, on słuchał Bacha. Jakiej muzyki słucha Pan w ciężkich chwilach?

– Moje gusta się zmieniały. Stosunkowo niedawno odkryłem Schuberta, Schumanna, Mahlera. Zawsze słuchałem Debussy’ego, Ravela i Szostakowicza – kompozytora jakby z innego świata. Szczególnie bliski jest mi Bartók, sięgający w istotę muzyki ludowej głębiej niż mój muzyczny ojciec – Szymanowski. Świadomie pomijam Beethovena, Bacha, Mozarta – tę „świętą trójcę”, bo już nigdy nikt nie stworzy takiej muzyki. Mam taką obsesję, że oni już wszystko powiedzieli. A my tylko na nasze XXI-wieczne możliwości możemy starać się to wyrazić innym językiem. Przecież człowiek przez wieki się nie zmienia. Piękno zawsze było pocieszeniem dla żyjących na tym świecie. To Norwid napisał: „Cóż wiesz o pięknie? Kształtem jest miłości”. A miłość to najważniejsze ze słów.

Kiedyś powiedział Pan, że całe życie mocno kochał i cierpiał – a to największy skarb.

DOKOŃCZENIE NA S. 58 >

► DOKOŃCZENIE ZE S. 57

– Widzę, jacy nieszczęśliwi są ludzie pozbawieni tego. Nawet nie wiedzą, co tracą. Miłość to największy dar, a gdy się kocha, to też się cierpi. Kiedyś wypełniając „kwestionariusz Prousta”, na pytanie, „kim chciałbyś być w innej odsłonie życia?”, odpowiedziałem, że księdzem, wyłącznie katolickim. Wtedy nie musiałbym jak Petrarca opłakiwać Laury. Po prostu nie miałbym żony...

Dla kapłana oblubieńcem jest Jezus.

– Kapłan widzi tamtą, niezakłóconą niczym miłość, która nie umrze, nie zostawi nas samotnymi. Nawet śmierć nie wydaje się wtedy straszna.

Boi się Pan śmierci?

– Bardziej cierpienia przed nią, jak wszyscy. Choć ja, jako sercowiec mam pewną szansę, że zostanę trafiony od razu (*śmiech*). Dość dużo się w życiu nachorowałem, ale myślę, że to była łaska, bo poznałem, jak to jest. Jeszcze jako tako się trzymam. Przeważnie ludzie mówią, że na starość boją się zmian w swojej psychice. Ale kiedy one przychodzą, okazuje się, że nawet nie zdają sobie z tego sprawy, bo już żyją w innym świecie.

Pan niczym zakonnik zamyka się w klasztorze eremickim swojego domu.

– Bo poznałem dwie różne odsłony życia. W młodości miałem okres zabawowy – w Paryżu i po powrocie z niego. Ale to tak miało być. Za nic nigdy nie złożyłem Bogu, ale starałem się zrozumieć Jego logikę. Zawsze jednak potrzebowałem samotności. Był taki okres, że kiedy czułem, że mam jakiś pomysł na utwór, to żona przeprowadzała się na jakiś czas do rodziny w Katowicach. Była kilka ulic ode mnie. Mieliśmy stały kontakt, ale lubiłem być w całkowitym wyciszeniu.

Wzbraniał się Pan przed Hollywood.

– Raczej przed tym, co mi tam proponowali po „Draculi” Coppoli. Od razu chcieli, żebym podpisał kontrakt na trzy horrory. Gdyby to był kontrakt na trzy filmy romantyczne, pewnie bym się zgodził. Zresztą, byłem już wtedy

Jestem trochę leniwy, niepewny swoich racji, a dostałem tyle wspaniałych łask Bożych. A nigdy o nic nie zabiegałem. Mimo że się trochę nacierpiałem, to wszystko we mnie jest wdzięcznością za to życie.

za stary, miałem 59 lat. Poza tym czekały na mnie wszystkie następne utwory niefilmowe.

Ciekawa była współpraca z Jane Campion?

– To anielska osoba. Kiedy nagrywaliśmy muzykę do „Portretu damy” w filharmonii w Pradze i był tam jeden kawałek zbliżony do muzyki absolutnej, muzyki zaczęli mi bić brawo. Zwykle granie do muzyki filmowej traktują jako chałturę, a tu zwrócili na coś uwagę. To było dla mnie cenne. Bardzo się cieszę z mojego spotkania z filmem. Dzięki temu mogłem sobie pisać różne walczyki (*śmiech*). Ale muzyka filmowa to działalność usługowa. Najważniejszy jest reżyser, wszyscy inni to glina w jego rękach. To tak, jakby pani pisała świetne teksty, ale na potrzeby reklamy. Dzięki pisaniu muzyki filmowej dostałem od losu piękne przyjaźnie, podróże. Pewnie nigdy bym nie pojechał do Australii albo Tajlandii, tylko w kółko jeździł do Rzymu, Paryża, Nowego Jorku.

Często odwiedza Pan Jasną Górę.

– To niezwykle dar Boga i ludzi. Pojechałem tam w 1980 r. dzięki przyjacielowi – Jerzemu Dudzie-Graczowi. Miał tam wtedy plener malarski. I od tam wracam, mieszkalem nawet za klauzurą. To dla mnie miejsce szczególne. Na Jasnej Górze zostałem dopuszczony do rzeczy niezwyklej. Dzięki przeorowi o. Romanowi Majewskiemu w Wielkim Tygodniu mogłem oglądać poddawany wtedy konserwacji cudowny obraz bez sukienek. Widziałem, jak

wywożą go windą do pokoju, gdzie czekają konserwatorzy, jak zakonnicy wyjmują go z ram. Z bliska widać, jaki jest zmordowany przez wieki, jakie nosi ślady uszkodzeń. Mogłem dotknąć nagiego obrazu, ucałować go. Przytknąłem do niego swój różaniec.

Jest teraz wyjątkowy.

– Mam dziesiątki różańców. Leżą porozkładane po domu, noszę je we wszystkich kurtkach i marynarkach, żeby nie zapomnieć. Tamten był trochę taki odpustowy – niebieski. Kupiłem go, bo wyjechałem gdzieś bez różańca, i taki mi się trafił.

Zawsze ceniał Pan księży.

– Mówię, że chciałbym być księdzem, choć całe moje życie jest inne od zdyscyplinowanego i trudnego życia kapłana. W kapłanach zawsze widzę pośrednika Chrystusa. To wspaniałe, kiedy podczas spowiedzi ksiądz, też przecież grzesznik, poucza mnie z perspektywy człowieka słabego, ułomnego, popełniającego błędy. Spowiedź to rozmowa braci. Ale różnie bywało. Kiedyś spowiadałem się dwa razy w ciągu godziny. Wstąpiłem do jednego z wielkich kościołów w Katowicach i tam miałem wrażenie, że spowiednik mnie nie rozumiał. W takim dziwnym stanie wracałem pieszo przez park Kościuszki, no i zajrzałem do ks. Bolczyka. Zastałem u niego ks. Marka Szkudło i zwierzyłem mu się, że wracam od spowiedzi i... jeszcze raz się spowiadałem. Także z tego, że byłem wściekły na tamtego księdza, który mnie nie rozumiał. W Polsce mamy wspaniałych księży, ale księży śląscy, tak jak region, w którym posługują, są poważniejsi. Śląsk jest bardziej na serio, nie taki salonowy.

Dostał Pan wiele odznaczeń, ostatnio najwyższe polskie – Order Orła Białego.

– Oglądając je, znajdujemy się gdzieś poza polityką, ponad wszelkimi podziałami. (Wojciech Kilar pokazuje swoje nagrody – przyp. red.). Ten krzyż wręczał mi Zdzisław Grudzień, ten, w zastępstwie Aleksandra Kwaśniewskiego – już śp. Joanna Szymanek-Deresz, ten – Lech Kaczyński, a ten – Bronisław Komorowski. Ale najważniejszy

jest list od Jana Pawła II po mojej „Mszy dla pokoju”.

Napisał w nim, że słuchających przepełniła harmonia ducha.

– Wzruszył mnie moment, kiedy papieżowi, podczas fragmentu „Glorii” z Mszy, w której słycał echa góralszczyzny, zmieniła się twarz. Ten list wisi na ścianie. Drugi ważny dla mnie list napisał ambasador Stanów Zjednoczonych. W imieniu narodu amerykańskiego dziękuje mi w nim za „September Symphony”. Bo muszę przyznać, że mam taką swoją słabość do Ameryki. Zawsze wydawało mi się, że to symbol wolności i tolerancji, bez związku z filmami, do których muzykę tam komponowałem. Ale rozmawiając o nagrodach, trzeba wspomnieć o najcięższym grzechu uhonorowanych, jakim jest pycha. Kiedy dostaję te nagrody, czuję się coraz mniejszy. Naprawdę, słowo daję. Mam taki naturalny odruch, żeby, broń Boże, nie pomyśleć, że jestem od kogoś lepszy, że jestem kimś szczególnym, że coś mi się więcej należy. Bo to najlepsza droga do zguby. A kiedy słyszę o śmierci górników w kopalni, to wiem, że niepotrzebnie się przejmuję tym, jaką wybrać nutkę do utworu, kiedy on nie żyje, a gdzieś tam rozpacza jego rodzina. Zawsze trzeba pamiętać o zachowaniu proporcji.

Na Pana fortepianie obok kartki z notesika żony leży „Księga Psalmów” w tłumaczeniu Miłosza.

– Psalm 136 wciąż na mnie czeka. „Chwalcie Pana, bo jest dobry, bo na wieki łaska jego”. Pisałem dotąd muzykę tylko do jego fragmentów. Nieustannie powracam do jednego pytania, które zadaję sobie w moich wieczornych modlitwach; nie wiem, dlaczego to mnie właśnie spotkało takie piękne życie? Jestem dość niezorganizowany, trochę leniwy, niepewny swoich racji, a dostałem tyle wspaniałych łask Bożych. Poza tym nigdy o nic nie zabiegałem. Wszystko przyszło samo. Zawsze mnie to zadziwia. Mimo że się trochę nacierpiałem, to wszystko we mnie jest tylko wdzięcznością za to życie.

Podczas naszej rozmowy listonosz przyniósł świeżo wydane partytury z utworem „Sonety do Laury” Wojciecha Kilara. ■